

Felieton profesora Włodzimierza Zawadzkiego

Nauka tu i tam

Nauka jest niby jedna, ale wszędzie robi się ją inaczej. Zaczniemy od własnego podwórka. Kariera naukowa w Polsce jest w zasadzie hierarchiczna, na wzór niemiecko-austriacki. Robi się doktorat, potem habilitację, profesurę nadzwyczajną, w końcu zwyczajną. Hierarchia ta sprawdziła się w trudnych czasach, skutecznie opierając się zakusom władzy, a tytuł profesora cieszy się u nas do dziś znacznym szacunkiem. Osiąganie kolejnych stopni naukowych dostarczało niezbędnej motywacji do pracy, było też miarą wysiłku i osiągnięć. Piszę o tym częściowo w czasie przeszłym, bo, od kiedy nastąpiła demokracja, coś się zaczęło psuć.

Przed rokiem 1989 społeczność naukowa była bardzo wyczulona na wszelkie majstrowanie przy jej „niezbywalnych prawach”, jak to wtedy nazywano. Jaskrawym przykładem była sprawa „marcowych docentów” w 1968 roku, kiedy to mianowano odgórnie docentami doktorów bez habilitacji. Wzburzyło to silnie społeczność naukową i o całej historii wspominało się latami, stawiając ją za przykład „beprzykładnej ingerencji” władzy w sprawę szkolnictwa wyższego i nauki. Jednak po politycznym przełomie środowisko przysnęło i nie obudziło się do dziś. Za to demokratyczna władza nie śpi. Ogólną tendencją jest spłaszczanie hierarchii. Najpierw zaczęto zacierać różnice między profesorami nadzwyczajnymi i zwyczajnymi, wprowadzono profesorów uczelnianych w odróżnieniu od belwederskich, czyli mianowanych. W ostatnich latach władze próbowały zlikwidować kamień węgielny kariery naukowej, czyli habilitację. Tego już było za wiele i środowisko wykazało pewien opór. Skończyło się na okaleczeniu procedury, zlikwidowano kolokwium i wykład habilitacyjny, recenzenci i członkowie rady naukowej nie mają okazji zadać habilitantowi pytań. Wszystko odbywa się na papierze, mechanicznie, „na niewidzianego”. Zdarza mi się brać w tym procederze udział z obowiązku, ale bez przyjemności.

Przy próbach zniesienia habilitacji padał w mediach argument, że w Ameryce nauka stoi wysoko, a habilitacji tam nie ma. Argument ten nie ma sensu, bo w Ameryce warunki są zupełnie inne i o wszystkim, także w nauce, decyduje rynek. Jeśli ktoś z doktoratem ma dobre publikacje, dostanie stanowisko profesora i wyżej płatną pracę na lepszym uniwersytecie i od jutra przeniesie się na drugi koniec kontynentu. Mechanizm ten ma miejsce na każdym szczeblu, znany jest

przypadek słynnego noblisty z Harvardu, który przeniósł się na uniwersytet w Teksasie, bo dostał lepsze warunki. Pensję naukowca w Ameryce się negocjuje, jeden profesor może zarabiać znacznie więcej niż inny na tej samej uczelni. Jeśli ktoś dostaje propozycję zatrudnienia swojej żony w innym ośrodku, idzie do szefa i mówi: „Oni dają mi to i to, a także zatrudnią moją żonę. Dacie mi przynajmniej tyle samo albo odejdę”. Rynek. Środki pozwalające na takie stosunki pochodzą na ogół z rąk prywatnych, najlepiej płatne profesury noszą nazwiska sponsorów, a najslawniejsze uczelnie żyją z inwestycji finansowych i grantów państwowych, ale nie z budżetu.

W Polsce człowiek całe naukowe życie pracuje w jednym ośrodku i zarabia tyle, ile przewiduje dane stanowisko. Można być wybitnym albo nijakim – na liście płac wszyscy jednacy. Niewiele też zależy od ośrodka, w którym się działa, poza Uniwersytetem Warszawskim i Jagiellońskim nie ma wyraźnego zróżnicowania. Dobre ośrodki nie ściągają wybitnych ludzi, bo nie mogą nic specjalnego zaoferować. Podobnie jest we Francji, ale już w Niemczech czy Austrii ruchliwość pracowników nauki jest większa – nie można zostać profesorem tam, gdzie się zrobiło habilitację. W konkursach na profesora znanej uczelni w Niemczech bierze udział do stu kandydatów!

Zbawienne dla życia naukowego w Polsce są bliskie stosunki z zagranicą. Dziś rzadko się o tym mówi, ale w 1956 roku zaczęliśmy, jako jedyni w demoludach, wyjeżdżać naukowo na Zachód. Kiedy wspominałem kolegom z Rosji, Czechosłowacji czy NRD, że w 1965 dostałem od Polskiej Akademii Nauk półroczne stypendium na wyjazd do USA, nie chcieli mi wierzyć. To zagranica wyróżnia i wynagradza osiągnięcia naszych naukowców, spełniając funkcję, której nie pełni nieruchawy polski system. Jest to możliwe tam, gdzie rządzi angielski, czyli w naukach przyrodniczych. Dzięki internetowi i poczcie elektronicznej proces ten ulega ostatnio wielkiemu przyspieszeniu. To naturalne, bo nasze wyniki wrzucamy do wspólnego światowego kotła. Jak już wspominałem, nauka jest jedna.



W Polsce można być wybitnym albo nijakim – na liście płac wszyscy jednacy. W Ameryce decyduje rynek

Prof. dr hab. Włodzimierz Zawadzki
Instytut Fizyki PAN